№ 12.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1844. Poznań, dnia 5. Czerwca.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi co drugi tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów **3**, *i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.*

Ktokolwiek przypatrzył się światu a nietylko oczami, ale pomyślił nad tém co widział, przyzna zapewne, że nędza jest najokropniejszym wrzodem społeczeństwa, bo nietylko cierpienia najboleśniejsze pociąga za sobą, ale staje się przeszkodą człowiekowi w przyjściu do samopoznania godności własnéj; massy ludów, nieczują własnéj godności, własnéj potęgi i niemogą zdobyć przez to stanowiska, któreby dozwalało im zupełnie się rozwinąć.

Nędza wzrastając, zmusza ludzi do myślenia nad tém, jakby najskuteczniéj przeciwko niéj radzić. Rozumie się, że wszelkie działanie tamujące wzrost i zmniejszające pauperyzm, może wyjść tylko od mass, tą okropną klęską dotkniętych. Dobroczynność osób, niecierpiących nędzy, może tylko indywiduum, w zamian upokorzenia przynieść chwilową ulgę, dla mass jest ona tylko jakby ironiją. Stowarzyszenia ludzi niedotkniętych nędzą, ku zmniejszeniu pauperyzmu, obszerniejszy mają zakres działania i są daleko skuteczniejszemi, mimo to niesą jednak dostateczne. Massy dotknięte nędzą, własną siłą, pracą i umiejętném jéj użyciem, mogą się z okropnego swojego stanu wydźwignąć. Miłujący prawdziwie najliczniejszę a najnieszczęśliwszę część społeczeństwa, służąc jéj siłą umysłową, łącząc się z nią w materijalnych przedsięwzięciach, i w dążeniu ku wykształcaniu się, mogą jedynie stać się użytecznymi prawdziwie dla mass dotkniętych pauperyzmem, na innéj drodze usiłowania wyradzają tylko bardzo drobiazgowe ulżenie, ale nie mogą leczyć złego.

Dotknięte pauperyzmem massy, należy miłującym ich dobro, przywieść do przekonania, że rozdrobienie mienia, jakiemu podlegają indywidua składające te massy, nie jest złém, że należy tylko, tego rozdrobienia własności użyć w sposób odpowiedni, umiejętny, aby produkcyja tak wzrosła, że każde indywiduum, mogłoby bez zbytecznego myślenia w pracy, zaspokoić wszystkie potrzeby swoje. Na dowód tego, przytoczyć można stan Francyi i rozrachowanie uczynione we względzie rozdrobienia własności. Gdyby we Francyi dzisiejszéj wszystkim jéj mieszkańcom, równy wydzielono majątek, każdy miałby mniéj aniżeli dziś najuboższy z proletarijuszów francuskich, dziś przeciwnie, chociaż massa proletarijuszów jest wielką, są jednak jeszcze oprócz nich i mający się dobrze i wielcy bogacze. Stąd wniosek prosty, że rozdrobienie własności zmniejsza produkcyję, a ześrodkowanie jéj, zwiększa produkcyję.

Zastósowanie téj prawdy do ulżenia massom dotkniętym pauperyzmem, jest proste, a rozwiązuje zadanie uorganizowania umiejętnego pracy, któreby zwiększając produkcyję, znosiło nędzę, najnieszczęśliwszéj a najliczniejszéj części narodu każdego. Jeźli bowiem pauperyzm jest rozdrobieniem mienia mass, a to rozdrobienie jako zmniejszające produkcyję, sprawia nędzę, przeto ześrodkowanie mienia mass, jako podnoszące produkcyję jest jedynym przeciwśrodkiem pauperyzmu. To ześrodkowanie odbywać się może jedynie za pomocą stowarzyszenia pracujących, ubogich i dziś nędzą dotkniętych, bo w takiém stowarzyszeniu siły zespolone ku produkowaniu, pracując razem więcéj wydają i sprodukowanie więcéj na indywiduum zleje korzyści, jako otrzymane większemi środkami, niżby mogło to indywiduum otrzymać korzyści pracą mniéj środków rozwijającą.

Stowarzyszenia ludzi dotkniętych nędzą ku wydźwignięciu się z niéj przejrzymy w bliższych szczegółach.

Stanisław Strawiński,

KONFEDERAT BARSKI.

(Dokończenie.)

10.

Przez cały dzień w klasztornéj stajni słychać tylko parskanie i tupanie koni, zresztą cichość, jak gdyby w niéj żywéj duszy nie było, bo konfederaci po przepędzonéj na czuwaniu nocy, spokojnie zasypiali. Ojciec Idzi z daleka strzegł zawartych wrót, z daném od sprzysiężonych hasłem do przestrzeżenia ich w razie niebezpieczeństwa. Dopiero kiedy zmrok zapadać zaczął, wyszedł Strawiński na miasto. Tu pilnie uważał, jak poustawiane posterunki moskiewskie, i któremi ulicami najłatwiejszy będzie przejazd, a potém zwrócił się ku Nalewkom, popchnięty tą wolą serca, nieraz tak trudną rozkochanym do zwalczenia. Przez chwilę wpatrywał się z uczuciem w okna żółtego dworku, choć tam nic nie dostrzegł, tylko blado błyszczące światełko. Ale niezmyślona chęć przejścia progu domu musiała się w nim budzić, bo postąpił naprzód — i znów się zatrzymał, choć sobie widoczny gwałt zadał. Potém boleśnie spojrzał ku oknu, westchnął z głębi duszy — i jakby sam sobie nie ufał, spiesznie uchodził. Teraz zwrócił się ku zamkowi. Wszedł na dziedziniec w chwili, kiedy Stanisław August wsiadł do karety i ruszył, a przy nim na koniach kilku dworzan i hajduków. Strawiński wywiedział się od służby królewskiéj, że ich pan, nie na teatr, jak się to najczęściéj działo, lecz do chorego wuja kanclerza Czartoryskiego pojechał.

Mając taką pewność, spiesznie wracał do stajni Dominikańskiéj. Tu zastał wszystko w innéj postaci. Rozpalonych kilkanaście latarni oświecało zbrojno przybranych konfederatów, z których większa część trzymała cugle osiodłanych koni.

Strawiński w mgnieniu oka wąsy odrzucił, pistolety schowane pod czamarą za pas zatknął, czworograniastą czapką przewieszoną na bok przykrył podgolone włosy, i pieszcząc prawą dłonią rękojeść szabli, stanął wśród oczekujących na niego. Choć nie jeden z przytomnych przewyższał go wzrostem i pięknością lica, lecz żaden mu nie zrównał silną wolą, jaśniejącą na czole, zapałem w spojrzeniu i odwagą w całéj postawie, kiedy te kilka słów przemówił:

— Panowie bracia! chwila działania nadeszła.... Uwożąc Stanisława Augusta Poniatowskiego dziś zbawimy ojczyznę, lub naszemi trupami naznaczym drogę innym.

Potém w krótkości przepowiedział plan postępowania — dowództwo dwóch oddziałów oddał Łukaskiemu i Cybulskiemu, sam zaś stanął na czele trzeciego.

Wśród zbrojno przybranych konfederatów uwijał się w białéj zakonnéj sukni z paciorkami u pasa braciszek Idzi, z takiém uczuciem na twarzy, jak zgrzybiała matka jaśniejąca pięknością otaczających ją dzieci. Razem tworzyli oni całkowity obraz idei, za którą walczyli. Ci pierwsi byli niby uosobieniem wolności, a zakonnik wiary — dwóch myśli, w których obronie rycerze Barscy za szable ujęli.

Nim sprzysiężeni wyruszyli, Strawiński zdjął czapkę i pochylił się przed braciszkiem Idzim, mówiąc:

— Błogosławcie nas ojcze! Wasza czysta prośba większą będzie miała wagę przed Bogiem, niż grzesznego biskupa.

I ukląkł, a za nim wszyscy przytomni, każdy z odkrytą głową. Zakonnik wzniósł dłonie nad nimi, mówiąc:

— Idźcie w imię Pana i Przenajświętszéj Matki Jego, kruszyć siłę tego, który gnębi naszą wiarę i wolność — i zrobił krzyż nad ich pochylonemi czołami.

Teraz jedni konno, drudzy pieszo, każdy dążył na przeznaczone miejsce. Noc była ciemna, na niebie niedojrzéć żadnéj gwiazdki, bo gęste chmury zawisły na niém. Śnieg z deszczem przepadywał, a wiatr jęczał przeraźliwie, niby konający pod knutem kata! Z mieszkańców nikt się prawie na ulice nie wychylił; z daleka więc było słychać kroki nadciągających patroli moskiewskich, i sprzysiężeni snadnie ich unikali. Już byli z godzinę na swoich stanowiskach, kiedy przy Cybulskim krzyknął ktoś po rossyjsku; „to konfederaci!“ Ten się pochylił i dojrzał mundur moskiewski. Spiesznie więc zrzucił płaszcz ze siebie, i obwinął nim głowę stojącego, a wsadziwszy go na konia, ruszył z nim; jego miejsce zajął tymczasem Kuźma. Niedługo też posłyszano turkot pojazdu. Strawiński ze swoim oddziałem stanął w poprzek ulicy; podkoniuszy jadący przed karetą spostrzegłszy to, zawołał: „król jedzie!“ Na te słowa sprzysiężeni rzucili się na pojazd — rozpoczęły się strzelania i rąbania, a Poniatowski wśród tego zamięszania uszedł aż pod bramę, z któréj co był wyjechał. Lecz już była zamkniętą, a na jego silne kołatanie nadbiegł Strawiński, a téjże samej minuty i Kuźma, który wystrzałem z pistoletu oświecił twarz króla. Strawiński

pochwycił go za rękę, mówiąc: „Nie opieraj się panie; trzeba z nami jechać, powóz czeka“ — i bez żadnéj trudności wsadzono go na konia. Dziesięciu sprzysiężonych go otoczyło, na ich czele stanął Kuźma, zastępując Cybulskiego, który niebawem miał się z oddziałem połączyć. Łukaski ze swymi wyprzedził Poniatowskiego, ażeby nań czekać z przygotowanym pojazdem, a Strawiński pozostał w tyle dla wstrzymania pogoni. Ten ostatni zwolna ciągnął ze swoim oddziałem przez okopy ku Bielańskiemu laskowi, a stanąwszy na miejscu, z zadziwieniem nie zastał tu króla, tylko Łukaskiego w niecierpliwém oczekiwaniu. Niespokojni zatapiają się w domysłach, coby uprowadzeniu przeszkodzić mogło, skoro z Warszawy żadna pogoń nie wyszła, kiedy usłyszeli czwałowanie kilku jeźdźców. Wytężyli wzrok i słuch ku téj stronie — konni się zbliżyli — był to Cybulski z kilku towarzyszami, lecz Poniatowskiego nie prowadzili. Cybulski nie wiedział nawet, co się z nim stało, bo uwiodłszy Moskala w przeciwny koniec miasta, za powrotem nie znalazł nikogo ze swoich. Przy okopach dopiero spotkał kilku towarzyszów, od których się dowiedział, iż Kuźma zastąpił jego miejsce.

Teraz rozjechali się sprzysiężeni w rozmaite kierunki, lecz napróżno przez kilka godzin krążyli; ani śladu gdzie król. Nad ranem, Strawiński z Łukaskim, ukrywszy swoje oddziały w lasku, sami pojechali na zwiady w okolice; a Cybulski zamieniwszy swój ubiór w pobliskiéj chacie, ruszył ku Warszawie. Ledwie ci dwaj pierwsi ujechali kilka staj, spostrzegli za sobą kozaków; nie było innéj rady, jak schronić się do stojącego niedaleko domku. Konie wprowadzili na podworek, a sami weszli do izby. Niedługo usłyszeli krzyki zmięszanych głosów, i ujrzeli małe koniki Dońców, opasujące wieńcem chałupę. Strawiński ujął za pistolet, uchylił okienko, kula świsnęła — a dowódzca kozaków spadł martwy. Powstał nieporządek między nimi. Strawiński to widząc, wybiegł ze szablą w ręku i dosiadł konia. Kozacy zaczęli go otaczać, lecz machnął krzyżową sztuką, a wszystko się rozstąpiło jakby przed kosą śmierci, i wolno ujechał do lasku. Stanąwszy na miejscu spostrzegł dopiero, iż Łukaski za nim nie dążył. Zebrał natychmiast kilku ze swego oddziału i ruszył mu w pomoc. Lecz z jakąż boleścią ujrzał go leżącego na drodze, bez odzieży, ciało skłute, zrąbane, nie pokazywało najmniejszego znaku życia. Strawiński zrzucił czamarę, obwinął nią ciało przyjaciela, i uwiózł do lasku.

Wstrząśnięcie przywołało rannego do życia, a Strawiński radośnie ściskał jego dłoń skrzepłą, krew tamował, pocieszał słowem i spojrzeniem — kiedy stanął przed nim Cybulski. Koń zmęczony bokami robił, a jeździec — bez czapki, pobladły, zadyszały, słowa przemówić nie mógł. Strawiński raz tylko okiem nań rzucił, i odgadł całe nieszczęście; taką rozpaczą twarz się jego oblała.

— A więc uszedł Poniatowski?

— Wszystko stracone... już jest na zamku... — odrzekł Cybulski.

Strawiński wypuścił zlodowaciałą rękę przyjaciela, ogłuchł na jego cierpienia i jęki, bo w jego duszy rozległ się długi — przeciągły jęk.

— Wszystko stracone!... — powtórzył wolnym, wybitnym głosem. Na czole zawisła pochmurność, a w oczach zimna, głęboka boleść, która się nigdy w łzy nie topi. Podniósł się, brwi zmarszczył, ścisnął rękojeść szabli, jak gdyby tém chciał wewnętrzny ból przytłumić, i zapytał Cybulskiego: jak się to wszystko stało?

Ten opowiadał: iż przybył do Warszawy w chwili, kiedy król wjeżdżał na dziedziniec zamkowy, otoczony czterdziestu zbrojnymi Moskalami, a wśród nich konfederat Kuźma. Poniatowski wysiadł z karety — blady, włosy rozczochrane, ubiór w nieładzie, oczy ze sztuką na pół przymknięte, do łez rozrzewniały oczekujące go panie i dworskich pochlebców. Lecz lud Warszawski, tam zgromadzony, ze wzgardą lub szyderstwem nań spoglądał, i z cicha złorzeczył jego powrotowi. On przedstawił przytomnym Kuźmę jako swego wybawcę, który w nim uznał pana i króla, i uprowadził na stronę przed rozbójnikami konfederackimi.

Wsystkich oczy zwróciły się na Kuźmę, a Cybulski wiodąc konia za sobą, wcisnął się tuż za niego.

Przez chwilę zarzucano Kuźmę zapytaniami: jak się to wszystko stało. Lecz on stał milczący, z wzrokiem osłupiałym w dół spuszczonym i zgryzotę było widać w jego rysach i postawie. Na końcu rzekł jakby podziemnym głosem: „Jest to dzień najokropniejszy w mojém życiu“..... i znowu zamilkł. A Cybulski szepnął mu w ucho: „Przeklęstwo ci zdrajco!“ Kuźma krzyknął przerażony — ale ten już był na końcu, i uchodził przed ścigającymi go Moskalami.

Garsztka konfederatów zebrana w lasku, ze ściśniętem sercem słuchała Cybulskiego, na raz wszystko się rozprysło — zmarniało — żal im zamiarów, nad któremi wiele nocy przemarzyli, i po tyle kroć doczekali się wschodzącego słońca. Kiedy skończył opowiadania, przekleństwo przeciw zdrajcy rozległo się w powietrzu.

Po pierwszéj rozpaczy, kiedy ta już przeszła w boleść, całym ciężarem padła na duszę, a myśl

i serce każde swoją drogą zaczęło obejmować nieszczęście; wtedy Strawiński znów usłyszał jęki Łukaskiego, i choć te cierpienia nie mogły już zająć wyłącznie jego serca, przynajmniéj boleść w nim obudziły. Lecz dopiero pod zasłoną wieczora mógł go wywieść z lasku, i pomyśleć o daniu mu lekarskiéj pomocy. Cybulski pojechał po felczera do Warszawy i razem zawiózł smutną wiadomość do żółtego dworku na Nalewkach. Reszta sprzysiężonych rozjechała się także z lasku, bo z tak małemi siłami dłużéj tam się uchronić było niepodobieństwem.

11.

W małéj ubogiéj izdebce leżał Łukaski na dębowém słomą zasłaném łożu, a przy nim na skrzynce siedział Strawiński ponury, i w milczeniu spoglądał w rozpłomienione gorączką lica chorego. Przy głowach łoża siedział starzec w wytartéj szlacheckiéj kapocie, sucho odmawiając łacińskie pacierze. Przerywała mu je niekiedy podeszła niewiasta ubogą jubką odziana, wzywając jego pomocy do okładań, które choremu robiła — a potém na palcach powróciła do komina, przyrzuciła kilka drewek na palący się ogień, i zasiadła ławeczkę tam stojącą.

Od dwóch godzin jak złożono Łukaskiego, tylko jego jęki przerywały cichość w izdebce. Na każdy przeraźliwy krzyk boleści niewiasta rękawem jubki łzy ocierała, a starzec wzdychał i z pokorą zwracał oczy ku obrazowi Matki Boskiéj Częstochowskiéj na pół zatartemi rysami, która wisiała nad łożem między rusznicą i zardzewiałą szablą, a pod nią wianki i gromnica. Sam tylko Strawiński siedział nieruchomy, ciągle z jednym wyrazem na twarzy, jak gdyby postradał słuch i serce.

Nareszcie kądel starym ochrapłym głosem zwolna przed chatą zaczął poszczekiwać — potém coraz spieszniéj, aż nakoniec turkot kół szybami okienka zatrząsł.

Strawiński wybiegł z izby, i natychmiast powrócił w towarzystwie dwóch niewiast i lekarza. Kiedy ten chorego opatrzył, a pani Łukaska i Tekla tonące we łzach stały przy łożu rannego, Strawiński wywołał tego pierwszego przed chatkę, oddając mu ostatnie dwadzieścia dukatów z proźbą nieszczędzenia starań około chorego.

Potém wyprowadził ze stajenki osiodłanego konia, uwiązał go u słupa. Chwilę dumał, wpatrując się smutnie w ciemne niebo i choć śnieg z deszczem moczył mu lica i odkrytą głowę, on zdawał się tego nie czuć, — znać boleść duszy przytłumiła zewnętrzne czucie. I wrócił do izby; krótkiem uściśnięciem ręki i w milczeniu pożegnał na pół martwego przyjaciela i innych przytomnych. Lecz kiedy się zbliżył do kochanki, a ta podobniejszą była do istoty przypadkiem zeszłéj na ziemię niż do kobiety jak drugie, kiedy ujął jéj dłoń i pomyślał: iż to ostatni raz pewnie w życiu — mimowolnie upadł na kolana i zapłakał jak małe dziecko. Wnet jednak porwał się z miejsca — czy się wstydził swoich łez — czy nieufał swojéj odwadze, że zostając przy niéj dłużéj, zabraknie mu sił do odjazdu, dość, że złożył długi — ognisty pocałunek na jéj ręku, wybiegł z chatki, dosiadł konia i zniknął w ciemności.

12.

Z uderzeniem godziny dziewiątéj w klasztorze Częstochowskim wszyscy udali się na spoczynek, bo zakonnicy powrócili do zwyczajnego trybu życia, a konfederaci nie atakowani od dni kilku, zasypiają spokojnie. Przechodzi się tylko dwóch młodzieńców wdłuż korytarza, oświeconego bladém światłem lampy, zawieszonéj u nóg Chrystusa. Jeden z nich w czamarze bez żadnéj broni, lecz u drugiego sterczą pistolety za pasem i szabla pobrzękuje u boku. Między niemi toczy się rozmowa już od godziny, ale przy niéj musi im być w piersiach duszno — w sercach bolesno — bo odblask takiego uczucia wybił na ich lica. „Kazimierzu! każesz więc, idę na wygnanie — idę się tułać wśród obcych, przed którymi nie będę mógł nawet wspomnieć słodkiego imienia Polski, bo mię nie zrozumieją.“ I zatrzymał się — i znów mówił jakby sam do siebie. „Nidy już nie ujrzyć Tekli — żyć z dala od niéj — samotny....“ Przy tych ostatnich słowach lica mu rozmiękły i w oczach łzy zabłysły.

— O mój drogi Stanisławie! odparł drugi, wpatrując się w niego żałośnie. „Wiem, że snadniéj umierać wśród swoich z bronią w ręku, niż jak upiór iść się tułać wśród obcych. Ale też wiem, iż niemasz na świecie nic takiego, czego byś nie oddał dla ojczyzny, dla tego żądam jéj imieniem od ciebie tak wielkiéj ofiary.“

— Ha! kiedy potrzeba, zawołał silnym głosem, „pojdę wśród obcych umierać długą przeciagłą śmiercią, wtedy kiedy zdrów i silny, mógłbym walczyć w obronie własnéj ziemi — i wyjdę z ojczyzny z imieniem zdrajcy!...“ Przy tych ostatnich słowach pobladł, oczy dzikością zaświeciły — schwycił za pistolet — przyłożył do piersi i powtórzył głosem grobowym: „Ja mam byc zdrajcą!“ Lecz Puławski wytrącił mu broń z ręki. „Stanisławie! człowiek noszący w piersiach boski obraz wolności, nie ginie tak nikczemnie.“

— Wszak kiedy umrę, mówił tym samym głosem, wszystko możecie na mnie złożyć. Ale żyć z tą myślą, że przy mojém nazwisku kładą imie zdrajcy, to nad moje siły.

Puławski ujął jego dłoń w swoję i mówił jakby anioł pokoju. „Stanisławie! wielkiéj, bardzo wielkiéj ofiary od ciebię wymagam; bo się wrzucam w potok zimnych, nie pojmujących cię ludzi. Przybijam odtąd życie twoje do krzyża, a serce przeszywam włócznią boleści, jak oto Zbawiciela — ale on nas nauczył umierać z rozkoszą dla prawdy. Jak ci mówiłem, jeneralność żąda na wniosek rządu Austryackiego ukarania tych, którzy należeli do uwiezienia Poniatowskiego, a w szczególności rozstrzelania ciebie. *) Twoje życie w każdéj chwili w niebezpieczeństwie, w konfederacyi czynnym zostać nie możesz — uchodź więc, aż ta burza przeminie. Nie tobie hańba, ale rządcom konfederacyi, że prawy syn ojczyzny musi opuszczać własną ziemię jako zbrodniarz. Widoczne przekleństwo zawisło nad nimi, iż nie ufają siłom narodu, ale jako niedołężni starcowie żebrzą pomocy u wrót cudzych. Nie ociągaj się z wyjazdem, a pamiętaj, że popełniając samobójstwo, zabrudziłbyś czystość naszéj sprawy, bo by to uważano żalem i zgryzotą sumienia, za uwiezienie króla.“

Strawiński zmarszczył czoło jak gdyby tém stłumił ostatek słabości, a twarz znów zajaśniała całą siłą ducha i wyrzekł stanowczym głosem: „Więc żyć będę!“ Po tych słowach, uścisnęły się dłonie dwóch ludzi prawdziwego poświęcenia, w tém pierwszém ocknieniu narodu i serca pałające miłością wolności przycisnęły się na wzajem.

Puławski wyjął kieskę złota, mówiąc: „Jest tu dwieście czerwonych złotych, które odbierz jako ci się należący żołd z kassy Rzeczypospolitéj, boć nie przestajesz służyć ojczyźnie.“

Strawiński przyjął pieniądze, ukląkł przed ukrzyżowanym Chrystusem i pomodlił się chwilkę cichym głosem, a kiedy powstał, jego twarz jaśniała odwagą i silną wolą, jak zwykle.

Raz ostatni uścisnęli się młodzi bohatyrowie i rozstali na zawsze.

W trzy lata po tém rozstaniu i Kazimierz Puławski, jako tułacz opuścił rodzinną ziemię. Poszedł on walczyć w obronie uciśnionych Amerykanów, bo już była nadeszła ta chwila, w któréj Polacy rozpoczęli apostolstwo wolności, nietylko swojéj, ale wszech ziem świata. W bliskości Leksintonu wskazano na grób Polaka, przed niedawnym czasem poległego w boju. Już był trawą porośnięty, drewniany prosty krzyż oznaczał tylko jego miejsce, na którém było wyrznięte — Stanisław Strawiński. — Puławski ukląkł przy grobie, kilka gorących łez potoczyło się po jego licach; a potém urwał garść trawy na nim rosnącéj i przesłał ją do Europy pod napisem: Pannie Łukaskiéj zakonnicy w zgromadzaniu PP. Prezydentek w Krakowie.

W kilka lat Puławski poległ przy Sawanah. Od tego czasu tysiące polskich kości rozrzuconych bieleje po czterech częściach świata, a to wszystko w imie ojczyzny i wolności.

Dopowiemy tu jeszcze, co się stało z osobami należącemi do wypadków Strawińskiego; nie naszemi słowami, ale jednego z historyków tego czasu.

„Przewleczono, zawieszono śledztwo, a po piętnastu miesiącach od 7. Czerwca 1773. niespodzianie poruszono proces na nowo, kiedy już konfederatów pod bronią nie było, a to w celu, aby skazić ich głośne imiona. Sam król mówił w trybunale za oskarzonymi, a mianowicie za Kuźmą. Mówiąc o Łukaskim, który wpadł w ręce sprawiedliwości, oświadczył, iż niechce jego gardła; nazywał to zdarzenie swą przygodą, i rozczulił obecnych. Lecz rossyjskie plany były wzięte i król od nich odpisać nie mógł. Łukaski dowodził, że rozkazy, jakie otrzymał, ograniczały się do uprowadzenia króla. Jego obrońca wygotował rzecz w téj myśli, lecz obrony téj niedopuszczono. Król wyjednał u kommissyi, że wszystkie obrony wprzód były mu udzielane, i sam nie chciał przyzwolić na jawne czytanie obrony Łukaskiego. Kommissya téż w całym ciągu sprawy utrzymywała zamysł królobójstwa. Wyrok w téj myśli wypadł: Kuźma i Ewa z domu Medeńska żona Łukaskiego, mieli być obecni exekucyi; a to z powodu, że w jéj obecności mówiono o porwaniu króla. Nie przeżyło jéj serce tego rozdzierającego widoku — trzeciego dnia potém umarła. Łukaski i Cybulski, dwaj, których miano w ręku, byli ścięci; obaj okazali niezachwiane męstwo i spokojność.“ *B. F.*

*) Rząd Austryacki tolerował niejako konfederacyą, i pozwolił się osiedlać jeneralności w swoich ziemiach. Z tego powodu jeneralność ciągle wyglądała stamtąd protekcyi, i każde życzenie brała za rozkaz, w tym właśnie czasie, kiedy pierwszy rozbiór kraju już był w gabinecie Wiedeńskim postanowiony.

O Stowarzyszeniach.

Artykuł III.

Stowarzyszenia w Wielkiém księstwie Poznańskiém powstawały w ostatnim dziesiątku lat już ku zabawie

członków, już ku przemysłowym, już ku naukowym celom. Pomówimy o każdém w szczególności pod historycznym i krytycznym względem.

Kraj polski, niegdyś spiżarnią Europy nazwany, zachował wszędzie jeszcze ten sam agronomiczny charakter. Ziemia płodna, równista i rozległa, podzielona mniéj więcéj na obszerne własności pojedyńczych posiedzicieli przedstawiała obraz czystorólniczego kraju, i handlem zbożowym, mając spław Wisłą do morza Baltyckiego, i otwarte przystanie morza Czarnego, bogaciła wolnych właścicieli gruntów. Z dawien dawna rólnictwo stało się najszlachetniejszém zatrudnieniem szlachty, obok którego rzemiosło, przemysł i handel uważano za upadlające stan szlachecki zatrudnienia, i zostawiono je Żydom, i cudzoziemcom napływającym do miast polskich.

Zmieniły się czasy. Polska odciętą została od dwóch mórz, ścieśniona i poprzedzielana granicami, uległa to cłom uciążliwym, to systemowi zakazującemu wywóz produktów. Zubożeli posiedziciele dóbr przez klęski rozliczne krajowe. Otworzyły się inne spiżarnie zbożowe w Ameryce i Australii. Anglia, Francya i Holandya podnosiły także u siebie rólnictwo, a w Anglii nawet wywołano bil zbożowy. To wszystko wpłynęło stanowczo na Polskę, która ujrzała się naraz odciętą od handlu, zubożoną i nieoledwie na najniższym stopniu rólniczego gospodarstwa między narodami Europejskiémi. We Wielkiém Księstwie Poznańskiém powstała nadto zmiana stosunków włościan do panów. Zniesiono zaciągi, darmochy i daniny; uregulowano i separowano gospodarzy wiejskich, co konieczną sprowadzić musiało reorganizacyą w stósunkach gospodarskich.

Z tych tedy powodów najwcześniéj dawała się u nas czuć potrzeba stowarzyszeń agronomicznych, coby wiertelowe gospodarstwa, zamieniły na przemysłowe i tym środkiem podniosły upadające majątki narodowe. Atoli obywatele nawykli z pradziadów do sejmikowania nie mieli żadnéj jeszcze wprawy do pracowitego i czynnego działania, ku czemu potrzeba naprzód nabranego już ukształcenia i ciągłéj tego ukształcenia kontynuacyi, powtóre wyższego pojęcia społecznych stosunków, z których następujące prawdy stawszy się siłą przekonania, stają się oraz popędem do działań:

1) że nic siłą jednego, by też najpotężniejszą, się nie zdziała, ale, że tylko zmnożonemi siłami wielu wielkich rzeczy dokazać można;
2) że dobro pojedyńczych osób, nie da się pojąć, ani urzeczywiścić bez dobra ogólnego;
3) że zatém pracując gorliwie w interesie dobra publicznego, pracujemy najrzeczywiściéj dla naszego własnego dobra.

Mało było ludzi, co dzieliło to przekonanie, a tych kilku nie potrafiło, czy nie umiało skupić około siebie atomy towarzyskie, i zapłodnić je do wydania owocu.

To pewna, że żadne stowarzyszenia nie dadzą się narzucić, ani w życie wprowadzić, jeżeli w pojęciach i w gorliwości mieszkańców sił żywotnych nie znajdą.

Po długim przeciągu lat rzucił u nas pierwszą myśl do takiego stowarzyszenia, Antoni Kraszewski, ukształcony w naukach ekonomii politycznéj, z których chciał dla kraju korzystne uczynić zastósowanie. Podał projekt 1827. r. do założenia w Poznaniu na całe księstwo towarzystwa filagronomicznego, które też nader licznie zebrało się na walném zebraniu pod prezydencyą ówczesnego księcia Namiestnika.

Gwałtowne były potrzeby kraju wstecz zostawionego za oświatą ościennych Niemiec. Na wszystkich punktach trzeba było zaradzać. Oświata, przemysł, handel, rzemiosło i rólnictwo potrzebowały pomocy i podniety. Nie dziw, że w pierwszym zapale Towarzystwo wszystko chciało ogarnąć, i wszystkiemu zaradzić. Tym dobrym chęciom nie odpowiedział skutek. Statuta przez władze krajowe zatwierdzonemi nie zostały. Towarzystwo rozwiązało się, i nie myślało o tém, jakby się w osobne kółka zawiązać dla dopięcia częściowo celów zamierzonych.

Rok 1830. zwrócił uwagę na ważniejsze wypadki, po których nastąpiła ujemna reakcya i osłabienie, i dopiero w siedm lat potém Towarzystwo agronomiczne Gnieźnieńskie obudziło znów pierwszą iskrę życia i ruchu społecznego. August Miszewski znany powszechnie z gruntownych wiadomości gospodarskich i z prawości charakteru był twórcą oraz prezesem przez pierwsze dwa lata pomienionego stowarzyszenia dotąd w liczbie przeszło 300 członków istniejącego.

Pierwsi jego członkowie i założyciele, nauczeni doświadczeniem swoich poprzedników, ograniczyli się na samém rólnictwie, ale mało tusząc, aby sam interes agronomiczny nadać mógł długie życie towarzystwu, połączyli z nim bale, które kilka razy do roku przez członków towarzystwa w Gnieźnie dawane być miały. Skutkiem takiego połączenia rzeczy poważnych i lekkich, którego indziéj nie rozumiano, doniesiono w Gazecie Hamburskiéj, że się zawiązało w Księstwie Poznańskiém, agronomiczne towarzystwo tańcujące.

Krytyka ta była sprawiedliwa. Trzeba było przewidzieć układającym statuta, co też rzeczywiście nastąpiło, że gdy każdy z natury skłonniejszy do zabawy niż do pracy, bale staną się głównym, a agronomia przydatkowym interesem członków.

Towarzystwo położyło sobie za zatrudnienie: 1) obeznawanie się przez pisma agronomiczne niemieckie i polskie, ze stanem przemysłowego gospodarstwa za granicą we wszystkich jego gałęziach; 2) zastósowanie tych korzyści do własnéj ziemi przez czynienie doświadczeń, ku czemu każdy członek przynajmniéj pół morgi roli miał przeznaczyć; 3) samodzielne robienie postrzeżeń i doświadczeń, które częścią w odczytach, częścią przez druki miały być publikowane; 4) zdawać co rok sprawozdanie, ile każdy z członków w kulturze gospodarstwa swego postąpił.

Zaiste piękny zakres działań, byleby były wykonane. Atoli cała wina statutów w tém leżała, że pominiono całkiem środki exekucyjne. Zgoła towarzystwo miało władzę prawodawczą, ale nie miało władzy wykonawczéj. Stało się więc, że pism agronomicznych utrzymywanych przez towarzystwo mało kto czytał, i mniéj jeszcze z nich korzystał, że nie odłożył zatém ani pręta na cel agronomiczny, bo jakież miał czynić doświadczenia, że rozprawy coraz stawały się rzadsze, a nawet nie treści agronomicznéj; i nie było się czém przed publicznością popisać, że sprawozdania wzięły formę przechwałek własnych bez ogólnego interesu i ustać musiały.

Zdaniem naszém, towarzystwo tak liczne wszystkich członków zatrudnić niepotrafi. Powinno więc i wydzielić z pośród siebie sekcyą członków czynnych, do któréj dobrowolnie każdy, kto chce przystępuje, ale przystąpiwszy, bierze zobowiązanie pracowania w interesie towarzystwa. Zobowiązanie takie jako dobrowolne trwać tylko ma na dwa lata, po których upływie ponowioném być może. Odbyć się zaś powinno pewną formą np. przez podanie ręki prezydującemu. Niedopełnienie tak przyjętych obowiązków pociąga za sobą winę złamanego słowa i wykreślenie z liczby członków czynnych, których nazwiska na każdy rok prezes odczytuje.

Obowiązki członków czynnych powinny być wskazane. Na ten cel z sekcyi wybrany komitet z Prezesa, sekretarza i jednego z członków, który zatrudnienia wskazuje i kierunek im nadaje.

Pisma agronomiczne aby przyniosły korzyści, powinny być pojedyńczo rozdane do referatu, i na zgromadzeniu walném referent z swego pisma, zdaje sprawę z najważniejszych odkryć i postrzeżeń. Te dopiero postrzeżenia rozdają się innym członkom do doświadczeń i sprawozdania. Prezesowi położyć za obowiązek zjeżdzać co rok na zgromadzenie agronomów niemieckich, albo postarać się o zastępcę z pośród członków bez likwidowania kosztów, i zdać sprawę z czynności ich. Trudno się wyłączać towarzystwu rólniczemu od związku z najpierwszymi rólnikami całych Niemiec, i nie brać udziału w ich obradach, w których równie duch publiczny jak interes agronomiczny się kształci.

Tym sposobem obudziłby się interes w członkach towarzystwa i rzetelna spłynęłaby na całość korzyść. Aby zaś obudzić pewien rodzaj publicznéj emulacyi, która się tylko w licznych zgromadzeniach tworzy, należałoby obmyślić środki skuteczne do nakłonienia członków, aby się zjeżdżali na walne zebrania, a nawet nie wahać się ich wykreślać z listy towarzystwa, bo cóż mu po członkach, którzy przez całe lata nie pokażą się na zgromadzeniach. Ta obojętność ich stokroć większą moralną szkodę przynosi towarzystwu przez zły przykład, którym zaraża, niżeli ich składka materylnéj korzyści daje.

Obecnie rząd sam, zważywszy na ważność podniesienia gospodarstwa krajowego, z którego główne bogactwa narodowe płyną i dają krajowi siłę i podstawę niezachwianą, wniósł projekt do utworzenia jak najwięcéj towarzystw agronomicznych po całym kraju. Każda prowincya zawięzuje po powiatach u siebie kilka lub kilkanaście stowarzyszeń agronomicznych, przemysłowych, lub przynajmniéj styczność z rólnictwem i przemysłem mających. Te powiatowe towarzystwa odnoszą się do głównego prowincyonalnego towarzystwa, a wszystkie prowincyonalne stoją w związku z centralném towarzystwem w stolicy państwa, które wsparte środkami rządu, stoi w stosunkach z oświatą agronomiczną po innych krajach całéj kuli ziemskiéj i z tego głównego ogniska rozświeca prowincye, a przez prowincye, do najmniejszych nawet zakątków powiatów przeciska się,

(Dokończenie nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Z Poznania. — Towarzystwo polskich Artystów dramatycznych z Krakowa, dało w Środę dnia 5. Czerwca pierwsze przedstawienie. Biorąc na uwagę dzisiejszy stan Krakowa i jego położenie, wyznać musimy, iż zdziwiliśmy się, że tam może być tylu dobranych artystów. Przypisujemy to w ogóle duchowi polskiemu, który umie dzisiaj małemi środkami równać się niejednemu krajowi, co jest w najprzyjaźniejszych okolicznościach i od wieków zamożny. Zarzucano artystom polskim dotychczas, że w grze nie umieli oddać delikatności, która cechuje Polaków tak zwanego wyższego społeczeństwa. W Geldhabie występuje książę, występuje człowiek, który przybrał powierzchowność wielkiego świata,

a do niskiéj sfery należy; obiedwie przecież role zostały przedstawione z zupełną naturalnością. Geldhaba grał pan Królikowski: musimy mu oddać sprawiedliwość, że chód, poruszenia, gestikulacya, używanie tabakierki i chustki nawet, wszystko było zupełnie oryginalne, a tak charakterowi odpowiedne, że złudzenie nigdy nieodstąpiło widza i od początku do końca sztuki musiał przetrwać w zapomnieniu, że się znajduje na teatrze. W sztuce Odludki i poeta, szczególniéj piękna była deklamacya Holtzmana, jakkolwiek smętność roli niezrobiła wrażenia na publiczności tak dalece, że przy wywoływaniu ogólném ledwie spomniano jego nazwisko. W ogóle sąd dawały miejsca cen najniższych i stąd sąd ten choć równie prawny jak miejsc drugich, nie z wielką wypadał znajomością rzeczy i niebardzo słusznie. Brawo sypano przy szumnych, choć częstokroć z duchem czasów niezgodnych i mniéj naturalnie oddanych frazesach. Życzyć należy, aby parkiet i parter wróciły do prawa pochwalenia przez oklaski gry artystów, bo sąd ciągle niewłaściwie dawany musiałby zły wpływ wywrzeć. Ubolewać trzeba, że choć reprezentacya środowa godnąby była nietylko wszystkich stolic niemieckich, ale i Londynu i Paryża, przecież miejsca ledwie w połowie osadzone były.

Wiadomą jest rzeczą, że Anglicy namiętnymi są wędarzami, oni sztukę łowienia ryb za pomocą wędek podnieśli do prawdziwéj umiejętności. Na nieszczęście znikają ryby z rzek Anglii, bo wody ich zatruwają rękodzielnie, a wzburzają okręty parowe. Mimo to, Anglicy chcą łowić ryby wędami i dla tego bogatsi udają się w podróże zagraniczne, w okolice, gdzie ryby nie są jeszcze niepokojone. Latem ujrzysz mnóstwo najdumniejszych arystokratów angielskich w Szwecyi i Norwegii, budujących sobie chaty nad brzegami rzek i łowiących ryby na wędy przez kilka miesięcy.

MODY.

Paryż, dnia 31. Maja 1844.

Teraz, kiedy Paryż przepełniony jest cudzoziemcami, można się szczególniejszym przypatrzeć ubiorom i trudno wynaleść owe paryżanki, które najlepiéj się ubierają i ton modom nadają. O ile dostrzedz mogliśmy, noszą owe damy szlafroczki fulardowe, oszyte sznureczkami, ze stanikiem gładkim, otwartym i sznurowanym, na którym dla tego znajdują się małe guziczki jedwabne lub perłowe. Powłoki są bardzo szerokie, gładkie i w rozcięciu z przodu aż do dołu oszyte tak, jak stanik. Ulubiony jest także pekin na jasném tle, perłowo-szary np. w pasy różowe lub jasnozielone, niemniéj podoba się wełno-muślin z pasami ciemnobłękitnemi lub białemi, na których to jest ostatnich znajdują się różowe rozety.

Bareż wymaga innego kroju i innych ozdób. Widzimy u nich bardzo często jednę lub dwie bardzo wielkie falbany we wielkie fałdy. Na sukniach jedwabnych falbany muszą być wycinane w zęby.

Nową tkaniną jest teraz, fil de la vierge, którą biorąc na ranne ubranie, powinna mieć pasy na ukos, stanik fałdowany à la vierge i na szwie we fałdy ściągane rękawy. Do tego noszą kanezou z indyjskiego muślinu, haftowane i koronkami osute. Na ramiona zarzuca się lekki szal długi z gazy lub kaszemiru.

Do tych szlafroczków i sukien przechadzkowych noszą po większéj części włoskie słomkowe kapelusze z dosyć obszernym obwodem, który jednak nie tak głęboko zachodzi na lica, jak roku przeszłego. Najlepiéj wyglądają te kapelusze wystrojone białém piórem, lecz widzimy téż często szkockie kokardy z wstążek, zamiast girland z kwiatów, które ukośno spoczywają na obwodzie.

Ściągane kapelusze krepowe lub z polka-gazy powinny mieć za ozdobę lekkie kwiaty.

Znana pani Seguin wynalazła nowe kapelusze, które brać można w podróże, bez zaszkodzenia ich świeżości i kształtowi, i nie zarzucając niemi dużéj przestrzeni w pojazdach. Na wystawie przemysłowéj w Paryżu okazała dwa piękne wzory tego rodzaju, które jak inne rzeczy dają się układać w kufry.

Srebne ozdoby często i chętnie noszą, szczególniéj do ubiorów na wyjście. Popołudniową toaletę opiszemy, którą nam jedna przyjaciółka opisała. Wystawmy sobie naprzód młodą piękną blondynkę, z dużemi niebieskiemi oczyma i kwitnącym rumieńcem; ściągana kapotka zawisła nad jéj głową, jak lekki obłoczek nad gwiazdką wieczorną. Pod tym kapelusikiem z tulu iluzyjnego spływają sute blond loki w całéj swéj pełni i igrają na około szyi czarownéj. Suknia zupełnie odpowiada kapeluszowi, który na obwodzie przezroczystym unosi wianek z małych kwiatów i lekką zasłonę. Przytém uważaliśmy, że wraca znów moda do przepasek o długich końcach, bo taka opasywała jéj kibić. Dokończał tego ubioru długi szal koronkowy.

Objaśnienie ryciny.

1. Frak sukienny. Kamizelka pikowa w kratkę; pantalony z wełno-atłasu.
2. Czepek koronkowy. Suknia z szkockiego bareżu; spódnica z haftowanego muślinu.
3. Jedwabny kapelusz piórem zdobny. Suknia jedwabna z falbanami.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *N. Kamieńskiego i Spółki.*